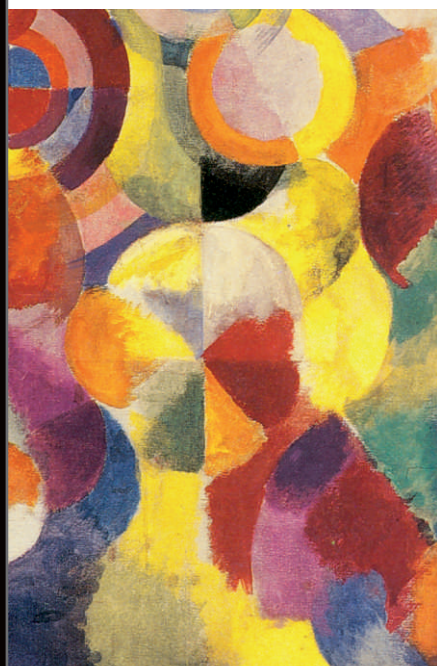


Michał Głowiński

REALIA,
DYSKURSY,
PORTRETY

STUDIA I SZKICE



universitas

REALIA,
DYSKURSY,
PORTRETY

STUDIA I SZKICE

Michał Głowiński

REALIA,
DYSKURSY,
PORTRETY

STUDIA I SZKICE

Kraków

© Copyright by Michał Głowiński and Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2011

ISBN 97883-242-1511-9
TAiWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne
Wanda Lohman

Projekt okładki i stron tytułowych
Ewa Gray

www.universitas.com.pl

Spis treści

I

Sprawa Dzierżyńskiego	9	
Jak pisać o Polsce Ludowej (Odpowiedź na ankietę)		31
Październik 1956: wielkie otwieranie	39	
Mówić jak oni		
(Glosy do XXVIII rozdziału <i>LTI</i> Victora Klemperera)		51
Dzieje romantyzmu w PRL (Najkrótszy kurs)	69	
Dwie nogi	81	
Trzy dni z „Naszym Dziennikiem”	89	
Gombrowicz źle widziany	119	
Postać literacka jako symbol polityczny: Nikodem Dyżma		127

II

Swoistości dyskursu antysemickiego	145	
Aneks: Dyskurs antysemicki w epoce poprawności politycznej	161	
Poetyka falsyfikatu politycznego	167	
Zawsze to samo (Wokół książki Sergiusza Kowalskiego i Magdaleny Tulli <i>Zamiast procesu</i> . <i>Raport o mowie nienawiści</i>)	189	
Prokuratorska aprobata dla mowy nienawiści		217
Aneks: Pięć lat później	227	

Jak ich postrzegano (Wokół tomu zbiorowego <i>Kwestia żydowska w XIX wieku</i>)	231
Czy nowy martwy język?	255
Nienawidzić siebie	271
O konieczności nie-bycia sobą	289
Esej Błońskiego po latach	299
Literatura polska wobec Zagłady (Rozważania wstępne)	315
Od strony kata (O <i>Łaskawych</i> Jonathana Littella)	335
Czy w cieniu Zagłady?	353

III

O Kazimierzu Truchanowskim	369
O Wojciechu Wyganowskim	389
O Janie Józefie Lipskim	401
O Romanie Zimandzie	417
O Mirosławie Puchalskiej	429
Nota bibliograficzna	439
Indeks	443



Sprawa Dzierżyńskiego

Andrzejowi Mencwelowi

1

Przedmiotu tego szkicu nie stanowi jego biografia, dobrze znana, wielokrotnie relacjonowana i to z krańcowych pozycji, od wielkiego oskarżenia do wielkiej apoteozy, w tej materii nie miałbym szansy wyjścia poza to, co już zostało powiedziane. Zacznę wszakże od tego, co określiłbym jako jego możliwe curriculum vitae. Ten uciekinier ze środowiska drobnego ziemiaństwa, mieszkającego na kresach dawnej Rzeczypospolitej, mógł pokierować swoim życiem tak, jak to uczynili jego liczni rówieśnicy, wywodzący się z podobnego społecznego kręgu, a więc wykształcić się i tworzyć polską inteligencję, przede wszystkim tę, którą zwykło się określać mianem postępowej, ale – być może – również zorientowaną inaczej. Mógł się stać współpracownikiem swojego o dziesięć lat starszego wielkiego krajana. I z tej możliwości nie skorzystał, Józef Piłsudski był jego wrogiem – do pewnego momentu ideowym, tak jak w ogólności Polska Partia Socjalistyczna, a w roku 1920, gdy

szedł na Warszawę z Armią Czerwoną, także w sensie militarnym. Pokierował swoim życiem inaczej, szkół nie skończył, do matury nie dotrwał, rzucił naukę, by stać się zawodowym rewolucjonistą, a potem – bezwzględny szefem instytucji, której jedynym zadaniem było organizowanie bolszewickiego terroru. Rzec można: biografia zaskakująca, także wtedy, gdy się uwzględni fakt, że człowiek, który zaangażował się w ruch rewolucyjny i stał się ideologicznym fanatykiem, płacąc za to zresztą wysoką cenę (wielokrotne pobyty w więzieniach i na zesłaniu), przemienia się w kata i oprawcę, dla którego wydawanie rozkazów rozstrzelania stało się przez dłuższy czas codzienną rutyną. Biografia ta z pewnością nie jest jedynym przypadkiem tego rodzaju, jest wszakże czymś całkiem osobnym ze względu na rozmiary zjawiska.

Stanowi ona niewątpliwie kuszący materiał na powieść, dramat czy scenariusz filmowy. O życiu Dzierżyńskiego napisano wiele, nie powstał wszakże o nim żaden znaczący utwór literacki, mimo że rozpiętość ujęć jest niezwykła – od hagiografii do pamfletu, od uwielbienia do demaskacji. Mimo takiego stanu rzeczy warto się jednak zająć tym, co o nim pisano – zwłaszcza w dwudziestopięciolecie jego śmierci. Warto nie tylko dlatego, że w okresie stalinowskim była to produkcja obfita (głównie na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych), warto również z tego względu, że była wysoce charakterystyczna. Poświęcił jej doskonałe hasło Wojciech Tomasik w *Słowniku realizmu socjalistycznego*¹, pokazując swoistości tego osobliwego pisarstwa, spełniającego doraźne zadania propagandowe i formowanego według z łatwością dających się zrekonstruować wytycznych, w konsekwencji wysoce schematycznego. Można się domyślać, że ówczesni zarządcy życia kulturalnego wydali w związku z rocznicą Dzierżyńskiego odpowiednią instrukcję, na pewno

¹ W. Tomasik, *Dzierżyńskiego wizerunek*, w: *Słownik realizmu socjalistycznego* pod red. Z. Łapińskiego i W. Tomasika, Kraków 2004.

udzielali stosownych pouczeń. Była to dla nich ważna sprawa z rozmaitych powodów.

Wszystkie te teksty pisane są według jednego wzorca, świadczą o tożsamości zamierzeń i celów, a także o swoistym ograniczaniu materiału. Przykładem szczególnie dobitnym jest zbiór złożony z opowiadań czterech autorów, trzech całkowicie dzisiaj zapomnianych – Jerzego Pytlakowskiego, Jerzego Piórkowskiego i Jerzego Millera oraz jednego wybitnego – Tadeusza Borowskiego. Są one tak wysoce ujednolicone, że robią wrażenie, jakby wyszły spod tego samego pióra, dotyczy to także *Czerwonego maja* Borowskiego, który – obok tekstu Pytlakowskiego – wyróżnia się tym, że jest nieco sprawniejszy literacko niż opowieści dwu pozostałych autorów². Obserwujemy w nich nie tylko daleko idące uschematyzowanie stylistyczne, będące konsekwencją ogólnie obowiązujących wzorców socrealistycznych, ale także zdumiewające podobieństwa w przeprowadzaniu fabuły i w formowaniu postaci głównego bohatera. Należy podkreślić, że wszystkie cztery opowiadania dotyczą wczesnego etapu działalności Dzierżyńskiego, ich akcja dzieje się w Polsce i obejmuje wydarzenia rewolucyjne z początku XX wieku, przede wszystkim to, co się działo w roku 1905. Jest on konsekwentnie przedstawiany jako Polak, polski bohater, walczący o sprawy polskiej klasy robotniczej. Podkreśla się wprawdzie, że przy każdej okazji opowiadał się za współpracą z socjaldemokratami rosyjskimi, o jego dalszej

² *Opowiadania o Feliksie Dzierżyńskim*, Warszawa 1951. W książkach wydawanych w Polsce Ludowej podawano wysokość nakładu. Tom ten miał się ukazać w 10 500 egzemplarzach. Dużo, ale jakże mało w porównaniu z nakładem tłumaczonych z rosyjskiego *Opowiadań o Feliksie Dzierżyńskim* Jurija Germana (Warszawa 1953), które osiągnęły 75 000 egzemplarzy. Można mieć wątpliwości, czy te dane liczbowe są wiarygodne, zapewne nie. Książki tego typu kupowały biblioteki (także szkolne), bo tego od nich wymagano, trudno przypuszczać, by znalazły nabywców wśród osób prywatnych. Z pewnością po pewnym czasie zasilają punkty skupu makulatury.

działalności na ogół jednak się milczy lub wspomina się ją względnie dyskretnie.

Ów wielki syn narodu polskiego niezależnie, w jakim miejscu się znajduje i z kim współpracuje, zawsze pokazywany jest jako oczywisty, chciałoby się powiedzieć – naturalny, przywódca. Może się pojawiać jako nieznajomy przybysz, używający kolejnego partyjnego pseudonimu, z reguły jednak ukazując natychmiast swoje oblicze szefa, inspiratora, wodza, a jego nawet niezbyt dobrze zorientowani towarzysze od razu pojmują, że mają do czynienia z kimś niezwykłym, komu należy się podporządkować, jedynym i najlepszym. W tych historiach Dzierżyński nie staje się przywódcą w następstwie takich czy innych wydarzeń, posunięć, decyzji, on nim niejako od początku jest – i zawsze góruje nad wszystkimi, za sprawą nie tyle swej charyzmy, ile nieposzlakowanej czystości ideologicznej, magicznie oddziałująca na środowisko swych politycznych socjuszy; tak dzieje się zarówno wówczas, gdy jest nastolatkiem, dopiero angażującym się w sprawę, jak wówczas, gdy można go już traktować jako dojrzałego działacza. Dzierżyński jest tu niezmiernie oddany klasie robotniczej i niezmiernie dzielny, jest kimś, kto – więzień i zesłaniec – budzi respekt nawet swych prześladowców. Wystawiony mu w Warszawie, w czasie gdy powstawały te opowiadania, pomnik zrobiony był – jak się okazało w czasie rozbiórki w roku 1989 – z materiałów tandetnych, opowieści o nim miały budować monumenty z marmuru. Podkreśla się jego skromność, bezinteresowność i ascezę, jednocześnie jednak jest on przedstawiany jako nadczłowiek, podobnie jak wówczas prezentowany był Stalin. Nasuwająca się tu analogia jest – jak się zdaje – uzasadniona. Stalinowi nie miał prawa dorównywać nikt z żyjących, przywilej ten obejmował nielicznych nieżyjących, wśród nich – obok Lenina – znalazł się Dzierżyński. Hagiograficzne opowieści nie naruszały bizantyjskiego uwielbienia, jakie otaczało Stalina, w jakimś sensie stały się jego elementem, gdyż nie mogło się

w nich dokonywać całkowite zaprzeczenie tego, co miało się składać na historię, nie miała ona prawa stać się w pełni historią bez nazwisk. Tym bardziej że dokonywano wyrazistej machinacji. Dzierżyński zawsze miał się znajdować po słusznej stronie, być najbliższym towarzyszem nie tylko Lenina, ale także Stalina, obydwaj mieli go darzyć bezwzględny zaufaniem³. Innymi słowy, fabuły o nim kształtowano wówczas tak, by były w zgodzie z biblią stalinizmu, noszącą nazwę: *Historia WKP (b), Krótki kurs*.

Zwłaszcza utwory narracyjne, ale też elaboraty publicystyczne, czytać należy na tle jedynie słusznych tekstów, przedstawiających obowiązującą interpretację polskiego ruchu komunistycznego i jego dziejów. Oficjalnym historykiem PPR-u i PZPR-u był wówczas Tadeusz Daniszewski, autor licznych broszur, pełniących rolę swoistych materiałów szkoleniowych, w tym dwu publikacji książkowych o Dzierżyńskim⁴. Druga z nich wiązała się z rocznicą śmierci, o jej tonie i charakterze wiele mówią już dwa otwierające akapity:

Przed dwudziestu pięciu laty przestało bić serce największego polskiego rewolucjonisty – Feliksa Dzierżyńskiego, wiernego ucznia i współtowarzysza walk Lenina i Stalina.

Wspaniałą drogę życia, jaką przebył Dzierżyński, podzielić można na dwa zasadnicze etapy: okres pracy w litewskiej a następnie polskiej socjaldemokracji oraz okres działalności w partii bolszewickiej. Między tymi okresami istnieje nierozdzielna więź⁵.

³ Bodaj raz tylko w którymś tekście wspomniano o ideologicznej omyłce Dzierżyńskiego, popełnił on bowiem błąd luksemburgizmu, polegający na niedocenianiu problematyki narodowej. W.I. Lenin udzielił mu admonycji i bohater nasz szybko powrócił na słuszną stronę.

⁴ T. Daniszewski, *Feliks Dzierżyński, jego życie, praca, walka*, Warszawa 1948; tenże, *Feliks Dzierżyński, nieugięty bojownik o zwycięstwo socjalizmu*, Warszawa 1951. Druga z tych książek nosi na karcie tytułowej nadruk „Wydział Historii Partii KC PZPR”.

⁵ Tenże, *Feliks Dzierżyński, nieugięty bojownik...*, s. 9.

Oczywiście, nawet Dzierżyński, na którego cześć wypisywano peany, nie mógł być po prostu współtowarzyszem obydwu największych wodzów, musiał być określony także jako ich uczeń, a więc nawet w rocznicowo-akademijnej publikacji nie zapomniano o zaznaczeniu miejsca w szeregu, choć gdy patrzy się z innej strony, nie sposób nie zauważyć, że określenie kogoś jako „wiernego ucznia Lenina i Stalina” było wówczas w obrębie rytuału komunistycznego wyrazem najwyższego uznania, mało kto liczyć mógł na tak wspaniałe komplement. Wszystkie te rocznicowe pisaniny są w wysokim stopniu ujednolicone, nie ma większych różnic między utworami literackimi i biograficznymi a tekstami o charakterze publicystycznym. Dają się one w istocie traktować jako jeden przekaz czy nawet jeden tekst, a interesujące zróżnicowania między utworami prozatorskimi i wierszowanymi ujawniają się niejako na niższym szczeblu i w dużej mierze wynikają tak z przyjętych w obrębie realizmu socjalistycznego konwencji, jak z odmiennych możliwości, jakie daje posługiwanie się prozą bądź wierszem⁶.

Zanim do tej sprawy powrócę, chciałbym się zająć tym, co można określić jako kod personalny komunizmu, kod w wysokim stopniu zideologizowany, a także długotrwały, jeśli się zważy, że obowiązywał on nie tylko w opowiastkach z początku lat pięćdziesiątych, nie tylko w opublikowanej wówczas powieści dla młodzieży⁷, ale właściwie do końca⁸. Jego ostatnim w przypadku Dzierżyńskiego polskim produktem jest książka Jerzego Ochmańskiego, mająca być biografią naukową, wyda-

⁶ W latach siedemdziesiątych wyprodukowano dwuseryjny film o Dzierżyńskim, będący wspólnym dziełem polsko-radzieckim. Nie widziałem go.

⁷ H. Rudnicka, *Plomień gorejący*, Warszawa 1951. Powieść ta jest pod pewnym względem interesująca, pokazuje bowiem, jak autorka musiała dbać o to, by obowiązujące ujęcie ideologiczno-faktograficzne nie wchodziło w konflikt z fabułą, która miałaby szanse zainteresowania młodocianego czytelnika.

⁸ Problematyce tej poświęcona jest wybitna książka Mariusza Mazura, *O czło-wieku tendencyjnym...*, *Obraz nowego człowieka w propagandzie komunistycznej w okresie Polski Ludowej i PRL 1944–1956*, Lublin 2009.

na wówczas, gdy nadciągał już zmierzch Polski Ludowej i na milimetr nie odchodząca od obowiązującej ideologicznej ortodoksji⁹. Ciekawym zjawiskiem pod tym względem są memuary wdowy, Zofii Dzierżyńskiej¹⁰. Dzierżyńska (1882–1968) od wczesnej młodości była działaczką SDKPiL i przez całe swe długie życie przekonaną komunistką. Można się spodziewać, iż wspomnienia żony, nawet gdy przez dziesięciolecia była partyjną aktywistką, będą w jakiejś przynajmniej mierze opowieścią osobistą o tym, co składa się na życie prywatne. I takie rzeczywiście w jakiejś mierze są do pewnego momentu. Tego, w którym w życiu autorki pojawił się w Krakowie Feliks Dzierżyński. Od tej chwili język sztywnieje, dzieje się tak, jakby założyła ona, że w opowieści o komunistycznym herosie nie można wyjść poza granice dyskursu obowiązującego, jakby uważała, że przestrzeganie jego ściśle określonych reguł należy do jej bezdyskusyjnych obligacji. Książka jest interesująca także z tego względu, iż w jej obrębie język oficjalnie w miarę, jak narracja dochodzi do rewolucji bolszewickiej i czasów, w których Dzierżyński stał się jedną z głównych figur nowo

⁹ J. Ochmański, *Feliks Dzierżyński*, Wrocław 1987. W tym samym roku ukazała się książka J.W. Czajowskiego, *Feliks Dzierżyński*, Kraków 1987. Nie mogła ona całkowicie uwolnić się od obowiązujących wzorów, choćby ze względów cenzuralnych, ma jednak znacząco inny charakter niż książka Ochmańskiego. Mówi się w niej o Dzierżyńskim jako postaci kontrowersyjnej, jawnie przyznaje się, że sprawa niepodległości Polski go nie interesowała, a pośrednio przedstawia jako fanatyka, którego nic w istocie nie obchodziło poza utopijną wizją, a by ją urzeczywistnić, gotów był poświęcić wszystko. Na tle tego, co o Dzierżyńskim w Polsce Ludowej pisano, jest to ujęcie może nieśmiałe, ale już jednak przekraczające te schematy, jakie dotychczas obowiązywały. Po zmianie ustrojowej ukazała się rzetelna faktograficznie książka J.S. Łątki *Krwawy apostoł*, Kraków 1993.

¹⁰ Z. Dzierżyńska, *Lata wielkich bojów, Wspomnienia*, Warszawa 1969. Z noty „Od Wydawnictwa” dowiadujemy się, że książka w swej większości napisana została po polsku, ale najpierw ukazała się w przekładzie rosyjskim (Moskwa 1964); jej wersja polska została zmodyfikowana, o czym wydawnictwo informuje w owej nocie.

powstałego państwa. W tym stadium nie różni się ona niczym od sowieckiego dyskursu historycznego, w istocie mogłaby być niemal traktowana jak ilustracja do tego, co się głosi w *Krótkim kursie*, mimo że wspomnienia ukazały się w czasie, kiedy ta „dobra nowina” stalinizmu została zdegradowana i w zasadzie przestała być wzorem narracji historycznej.

Tak w spisanej po latach opowieści wdowy, jak w tekstach tych autorów, których nie łączyły z Dzierżyńskim związki osobiste, tekstach pisanych tuż po jego śmierci lub później, obligatoryjny jest jeden wzorzec – bohatera bez skazy. Jak się zdaje, ukształtował się swoisty gatunek, który można określić jako komunistyczne żywoty świętych. Świadomie proponuję nazwę odwołującą się do hagiografii jako jednej z odmian piśmienictwa religijnego, bo ten wyznawczy wymiar jest niezmiernie ważny, wręcz konstytutywny¹¹. Ma to zresztą szersze odniesienia, gdyż na ogromną część dyskursu komunistycznego, zwłaszcza w jego wersji bolszewicko-stalinowskiej, spojrzeć można jako na swoiste quasi-religijne ukształtowanie mowy. W dyskursie tego typu nie przekonuje się, nie opowiada fabuł, które miałyby znaczenie samoistne, przedstawia się pewne postaci i wydarzenia, jakie mają się stać budującym przykładem i przedmiotem kultu. Oddziaływa to na ten osobliwy kod personalny. Pod pewnym względem jest on jeszcze bardziej rygorystyczny i jeszcze bardziej uschematyzowany. W żywotach świętych cnota nie musi od razu brać w swe posiadanie bohaterów, bywają oni poddawani ewolucjom, coś się w ich postawach i działaniach zmienia. Mogą skromnie czy marnie zaczynać, ale zaznają nawróceń, spływają na nich łaski, a więc podlegają przemianom, Szaweł może się przemienić w Pawła. Takie ujęcie w kodzie personalnym komunizmu jest nie do

¹¹ Jako przykład hagiografii komunistycznej analizuje Mariusz Mazur w przywoływanym dziele (s. 535–544) wydaną w roku 1952 książkę *Bolesław Bierut. Życie i działalność*, Warszawa 1952.

pomyślenia – zwłaszcza gdy chodzi o herosów największych, tych, którzy mieli przejść przez życie nie popełniając ideologicznych błędów i nie znając żadnych wahań. Bohater jest bohaterem niemal od kołyski. Jednym z takich herosów z komunistycznego areopagu stał się Dzierżyński.

Jeśli sprowadzi się do jednego mianownika teksty biograficzno-historyczne, opowiadania mające aspiracje literackie, a także wiersze czy okolicznościowe przemówienia, wyłania się z nich postać bez skazy i posiadacz cnót wszelakich, nawet takich, które nie musiały charakteryzować działacza partyjnego i wzorowego komunisty. Były one jednak przywoływane – z różnych powodów, przede wszystkim dlatego, że owe pseudo-hagiograficzne utwory miały charakter dydaktyczny; to prawda, ich zadaniem było niby powiadamiać, ale na pewno czcić i – nade wszystko – przedstawiać wzory postępowania. Pod tym względem ten dział literatury socrealistycznej, tak zresztą jak po części późniejszej, przypomina literaturę dla dzieci, w której bodaj z reguły pomija się prywatne wątki biografii; nie było ich w oficjalnych opowieściach o Dzierżyńskim¹². Dotyczy to nie tylko adresowanej do nastolatków powieści Rudnickiej, dotyczy także opowieści rosyjskiego socrealisty, Jurija Germana (1910–1967), utrzymanych w takim tonie, jakby miały stanowić parodię, choć w istocie nie mają z nią nic wspólnego (przypominają w jakiejś mierze słynne opowieści Zoszczenki o Leninie). Dzierżyński jest nie tylko

¹² Listy miłosne Dzierżyńskiego do Sabiny Feinstein z lat 1905–1913 opublikowane zostały w wyborze dopiero po stuleciu przez bratanków adresatki. Zob. S. i W. Lederowie, *Czerwona nić. Ze wspomnień i prac rodziny Lederów*, Warszawa 2005. Listy te zawierają się w rozdziale V, zatytułowanym *Z korespondencji Feliksa Dzierżyńskiego z Sabiną Feinstein – romans, który przerwała Historia* (s. 86–142). Romans ten zakłóciła nie tylko historia, ale także fakt, że autor listów ożenił się z kim innym, a mianowicie z Zofią z Muszkatów. Świadczą one, tak zresztą jak *Pamiętnik więźnia*, że Dzierżyński dobrze władał piórem. Za młodu pono zwykł pisać wiersze. Czyżby był jednym z wielu niespełnionych młodopolskich literatów?

wielkim bojownikiem o sprawę klasy robotniczej, jest także po prostu dobrym człowiekiem. To on wynosi na własnych rękach na spacerniak konającego na gruźlicę młodego współwięźnia, Antka Rosoła, by ten zaczerpnął przed śmiercią choć trochę świeżego powietrza, to on troszczy się o los dzieci i zawsze zabiega o ich dobro, bo je umiłował, kocha je także wtedy, gdy bez wahań każe rozstrzeliwać ich rodziców¹³. Ba, jest też przyjacielem zwierząt, dowiadujemy się bowiem, że w swych warszawskich czasach opiekował się bezdomnymi kotami. Więcej, w tych tekstach, które obejmują jego życiorys po roku 1917, daje się do zrozumienia, że przewodził Komisji Nadzwyczajnej i zwalczał wszelkimi sposobami kontrrewolucjonistów, właśnie dlatego że ukochał klasę robotniczą i był po prostu bardzo dobrym człowiekiem. Czytając tego rodzaju opowiadania, ma się niekiedy wrażenie, że Dzierżyński to ktoś kreowany na komunistycznego świętego Franciszka z Asyżu! Niezależnie od tego, co wyczyniał, miał być – użyjmy klasycznej formuły Tadeusza Kotarbińskiego – opiekunem spineglivym.

Czas przejść do poświęconych mu wierszy¹⁴. W swym ideologicznym przekazie nie różnią się one od tekstów prozatorskich – zwłaszcza że pewna ich liczba ma charakter narracyjny, często – jak na przykład utwory na ten temat Stanisława Wy-

¹³ Swoje umiłowanie dzieci Dzierżyński deklarował wielokrotnie w różnego rodzaju wypowiedziach, w tym w listach do swej starszej siostry, Aldony. Nawiasem mówiąc, formuła „wielki przyjaciel dzieci” stała się ironiczną peryfrazą do niego odnoszoną.

¹⁴ Pojawiło się ich sporo. Większość z nich ukazała się w zbiorze *Wieczny płomień. Wybór wierszy poetów radzieckich i polskich o Feliksie Dzierżyńskim*, opracowanym przez Wiktora Woroszyńskiego, Warszawa 1951. Odrębne dzieło poetyckie poświęcił temu herosowi L. Lewin, *Poemat o Dzierżyńskim*, Warszawa 1951. Osobliwością poematu jest to, że napisany został w stylu romantycznej powieści poetyckiej, niemal na wzór *Grażyny* i *Konrada Wallenroda*. O ile wiem, przeszedł on niezauważony, wzorowym socrealistom wydał się zapewne zbyt anachroniczny w swej stylistyce. Tak zwani pryszczaci nie mieli w cenie tego rodzaju archaicznych stylizacji.

godzkiego – zbliżają się one do formy ballady. Jest to wszakże narracyjność swoista, nie wymagająca konstruowania spójnej fabuły i uwzględniania wielu realiów – poza takimi, którym nadaje się bezpośrednie znaczenia symboliczne. Z tego względu rysuje się jednak warta zasygnalizowania różnica w stosunku do utworów prozatorskich pisanych z okazji rocznicy śmierci na początku lat pięćdziesiątych. Nie ograniczano się w wierszach do działań młodego Dzierżyńskiego jako członka SDKPiL, uwzględniano pozostałe etapy jego biografii; kiedy poeci odwoływali się do czasu terroru, nie musieli pisać o konkretnych faktach i wdawać się w szczegóły, po prostu był on przedstawiany jako orzeł rewolucji. Tu zresztą ujawnia się charakterystyczna różnica między wierszami autorów polskich i sowieckich zamieszczonymi w antologii. Te ostatnie są przede wszystkim apoteozą Dzierżyńskiego z okresu rewolucyjnego i porewolucyjnego, w tym także wielką jego pochwałą jako szefa terroru¹⁵. To prawda, pojawia się w tej roli towarzysarz Feliks i w utworach autorów polskich – także jako zjawą, poruszającą, jak ma postępować ubecki oficer z przesłuchiwanym (tak się rzeczy mają w najgłośniejszym rodzimym wierszu o Dzierżyńskim – *Towarzyszom z Bezpieczeństwa* Andrzeja Mandaliana). Jednakże większość utworów dotyczy poszczególnych elementów biografii, tak dzieje się w wierszach Wygodzkiego, ale również w utworach autorów młodszych, niektóre z nich wysławiają jego poszczególne cnoty; na przykład Witold Wirpsza w osobliwym, mocno żenującym wierszyku zatytułowanym *Dzieci*, przywołuje często eksploatowany wątek propagandowy: szefa Czeki jako troskliwego opiekuna małoletnich.

¹⁵ Wyróżnia się w tym wyjątkowo szkaradny, wychwalający rozstrzelanie, wiersz Aleksandra Bezymińskiego *Człowiek nie zgoreje*, będący fragmentem poematu *Feliks*. Ten wyjątkowo odrażający kawałek przełożył w roku 1948 Julian Tuwim (niestety!).

Pisałem przed laty, że w socrealistycznej poezji nowomowa występowała w postaci laboratoryjnie czystej, niezakłóconej żadnymi przymieszkami, niewchodzącej w kompromisy z tradycyjnym językiem, wynikające z konieczności narracyjnych, stanowiła jej ekstrakt¹⁶. Wiersze o Dzierżyńskim są dobitnym potwierdzeniem tego stanu rzeczy. Stanowią one bezkrytycznie powtarzany konglomerat toposów, tak odnoszących się do opiewanego bohatera, jak tych o charakterze i zasięgu szerszym. Główny związany z Dzierżyńskim obraz powtarza już tytuł zbioru: *Wieczny płomień*. Motyw płomienia powraca niemal we wszystkich tekstach, zmieniają się tylko przymiotniki. Najczęściej przywoływany to „gorejący”. Prawdopodobnie motyw ten pojawiał się już za życia Dzierżyńskiego, usankcjonował go Stalin w wypowiedzi ogłoszonej na wieść o jego nagłej śmierci. Ciekawe, że operowano często przymiotnikiem „żelazny”. Jest to przypadek wart zastanowienia, bo epitet ten nie musi się odznaczać pozytywnymi konotacjami. W retoryce komunistycznej niewątpliwie je miał, chyba głównie za sprawą Stalina, który zwykł się nim w zróżnicowanych kontekstach posługiwać. Znaczył rozmaite rzeczy – niekwestionowany, gdy odnosił się nie do osób, ale na przykład do fundamentów ideologii („żelazne zasady”), niezłomny i nieugięty, gdy określano nim poszczególnych ludzi. Formuła „żelazny Feliks” występowała w apologiach¹⁷, choć nic nie stało na przeszkodzie, by pojawiała się w pamfletach.

Apologetyczne poematy o Dzierżyńskim stanowią lekturę odrażającą; muszę wyznać, że moją szczególną niechęć wzbu-

¹⁶ Zob. mój artykuł *Literatura wobec nowomowy* (napisany w roku 1980), w: *Nowomowa i dalsze ciągi, Szkice dawne i nowe*, Kraków 2009, s. 65.

¹⁷ Na częste używanie przymiotnika „żelazny” w peanach na cześć Dzierżyńskiego zwrócił uwagę Tomasiak i świetnie rzecz skomentował. Swą analizę pointuje tak: „Żelazny Feliks» uosabia jednostkę, która – jak stworzony przez człowieka mechanizm – wymyka się prawom biologii” (zob. *Słownik realizmu socjalistycznego*, op. cit., s. 51).

dził zamykający zbiór sporych rozmiarów utworów Mieczysława Jastruna *Żyjący w dziejach*. Autorami większości wierszy byli poeci początkujący; Kubiak, Mandalian, Woroszyński to wówczas młokosy, którym stalinizm uderzył do głowy, Kapuściński był jeszcze nastolatkiem. Jastrun zaś był poetą dojrzałym, znanym od lat, o wielkim literackim doświadczeniu i cennym dorobku, reprezentował inne pokolenie. Ogarnia zdziwienie, że ktoś taki zdecydował się na ogłoszenie tekstu, w którym patetyczne refleksje historiozoficzne snuje się w kawałku wychwalającym organizatora wielkiego terroru¹⁸.

2

Wysyp w roku 1951 wszelkiego rodzaju tekstów poświęconych Dzierżyńskiemu nie był, oczywiście, zjawiskiem spontanicznym, nie stało się tak, że autorzy od pokolenia urodzonego na początku XX wieku, a więc wówczas mocno średniego, Jastruna i Pollaka, Wygodzkiego i Lewina, po licealistę Kapuścińskiego nagle, z wolnej i nieprzymuszonej woli, zapalali entuzjazmem i postanowili uczcić człowieka określonego mianem wielkiego rewolucjonisty. Była to świadomie organizowana akcja ówczesnych władz, nie tylko nie jedyna tego rodzaju, ale w tamtych latach częsta, podobnie czczono zarówno inne rocznice (by wspomnieć tylko urodziny Stalina w roku 1949 i Bieruta w roku 1952), jak aktualne wydarzenia¹⁹. Przyboś w podobnych przypadkach mówił o „wierszach

¹⁸ Do wydanej w roku 1956 obszernego tomu *Wierszy zebranych* Jastrun *Żyjącego w dziejach* nie włączył. Trudno się dziwić, nastąpiła już inna epoka. Nie był zresztą w selekcjonowaniu swych utworów z lat stalinowskich odosobniony, żaden z autorów wierszy o płomiennym i żelaznym Feliksie, napisanych w ćwierćwiecze jego śmierci, w przedrukach ich nie przypominał.

¹⁹ Przykładem tego drugiego zjawiska były liczne wiersze i wypowiedzi prozą po skazaniu na śmierć greckiego komunisty Nikosa Belojannisa. Zob. moje hasło *Belojannisa wizerunek* w: *Słowniku realizmu socjalistycznego*.

na telefon”; może w istocie zamawiano je w ten sposób, choć zwłaszcza wśród autorów młodych i nieznanymi niewątpliwie trafiali się także ochotnicy, wyprzedzający zaproszenia władz. Zasięg akcji w przypadku Dzierżyńskiego był duży. Warto się zastanowić nad jej uwikłaniami, bo – jak się zdaje – chodziło o coś więcej niż kolejna akcja propagandowa. Była ona dla ówczesnej ekipy PZPR-owskiej ważna, choć narażała także na pewne trudności²⁰.

Była ważna również dlatego, że ówczesny spis rodzimych bohaterów komunistycznych był niewielki. Ze zrozumiałych względów. Stanowiło to następstwo likwidacji KPP i wymordowania jej przywódców w latach stalinowskiego terroru. Nie tylko nie można było ich czcić, nie wolno było wymieniać ich nazwisk, powiększyli grono osób nieistniejących. Popularyzowano działaczy urodzonych głęboko w XIX wieku i zmarłych przed stalinowską rozprawą z polskimi komunistami (przykładem Julian Marchlewski). Trzeba było ów pusty panteon czym prędzej zaludnić. Kreowano nowych bohaterów w rodzaju Mariana Buczka, ale to nie wystarczało. Okrągła rocznica śmierci Dzierżyńskiego przypadła na rok 1951, nadarzyła się więc dobra okazja, dziwnym by było, gdyby z niej nie skorzystano. Nie mógł on wprawdzie zapełnić całej ławy, na której wolne miejsca czekały na nadludzkie herosów, ale zajął pozycję eksponowaną. Był do tego predestynowany bardziej niż kto inny, można było podkreślać jego rodzimość, skoro był Polakiem, ale też uwydatniać jego udział w rewolucji bolszewickiej i to, że przedstawiano go jako najbliższego współpracownika Lenina i Stalina. „Uczmy się czcić i naśladować Feliksa Dzierżyńskiego” – tę formułę Bieruta powtarzano nieustannie, a płynące z niej pouczenie starano się wcielać w życie.

²⁰ Zob. o tym uwagi Łątki: „Władze powojennej Polski nie zawsze wiedziały, co robić z reprezentowanym przez Żelaznego Feliksa doświadczeniem historycznym” (*Krwawy apostoł*, op. cit., s. 171).

Polak i zarazem radziecki bohater – wydawało się, że nie ma nikogo dogodniejszego jako główna postać propagandowych opowieści i laudacji. Szeroko o tej sprawie pisał Jan Prokop, wypada się zgodzić z jego rozważaniami o „ikonie Feliksa”:

Postać Dzierżyńskiego (prawdziwy jakobin, zdaniem Lenina) daje wzór jak zidentyfikować polski patriotyzm najczystszej próby ze sprawą międzynarodowego proletariatu. Jest on więc bohaterem prawdziwie polskim to znaczy prawdziwie radzieckim. Miłość ojczyzny znaczy bowiem to właśnie – prawdziwy proradziecki internacjonalizm. Do takiej konkluzji wiedzie droga życiowa Dzierżyńskiego, patrona wszelkich polskojęzycznych i rosyjskojęzycznych służb specjalnych²¹.

Wszystko to prawda, jednakże nie można zapominać o wspomnianych już trudnościach. Niezwykłość zjawiska polegała na tym, że z takim rozmachem i z równą mu konsekwencją szerzony mit tego człowieka nosił w sobie – gdy patrzy się nań z pragmatycznego punktu widzenia – nie dającą się zharmonizować sprzeczność. Służył temu, co nazywano „umacnianiem przyjaźni polsko-radzieckiej”, to oczywiste, miał potwierdzać i utwierdzać przeświadczenie, że wszystko, co naprawdę polskie, jest naprawdę radzieckie. Ale tak ujęty mit mógł oddziaływać tylko na tych, którzy zinterioryzowali ideologię komunistyczną czasów stalinowskich, uznając ją za swoją. Zasięg takiej koncepcji musiał być ograniczony, a siła jej oddziaływania z natury rzeczy minimalna, choćby dlatego że wchodziła ona w konflikt z właściwościami polskiego dyskursu patriotycznego, który nie miał wówczas możliwości, by się bezpośrednio ujawniać w życiu publicznym, ale przecież trwał, zapomniany nie został. W tej dziedzinie zaś zamierzenia i am-

²¹ J. Prokop, *Mity fundatorskie Polski Ludowej*, w jego książce *Wyobrażenia pod nadzorem. Z dziejów literatury i polityki w PRL*, Kraków 1994, s. 29–30.

bicje były większe. Chciano, by szef Czeki stał się naprawdę polskim bohaterem narodowym.

Prokop trafnie podkreśla, że w propagandzie lat pięćdziesiątych nie zatajano szlacheckiego pochodzenia Dzierżyńskiego i tego, że wywodzi się z rodziny katolickiej (w młodych latach myślał przez pewien czas o karierze duchownej). Miała to być swojego rodzaju gwarancja jego polskości. Jest to w istocie przykład dość złożonych manipulacji – także językowych. We wszystkich bodaj tekstach opowiadających o Dzierżyńskim powiadamiano, iż on „walczył z caratem”. Nie z Rosją, nie z zaborcami, zawsze z caratem. Sformułowanie to (a także jego pochodne) dominowało bezwzględnie, można się zatem domyślać, iż autorom zostało zasugerowane, bądź pochodziło z rozdzielnika. Ma ono za sobą długą przeszłość – i zawsze w rodzimej tradycji patriotycznej odnosiło się do jednego, do walki o niepodległość Polski. O tych użyciach ma ten uzus przypominać, choć jednocześnie uwydatnia się, że z caratem walczył Dzierżyński nie o wolność kraju, ale o wyzwolenie klasy robotniczej. Carat był tu zatem nie ciemieczką podbitego narodu, ale wyzyskiwaczem ludu pracującego, swojego rodzaju superkapitalistą. Jako walkę z caratem przedstawiano strajki, choć miały one inne cele. Trzeba zwrócić uwagę na jeszcze jeden element – w prawie wszystkich tekstach o Dzierżyńskim, od broszur Daniszewskiego po opowiadania i mniejsze artykuły publicystyczne podkreślano, że od najwcześniejszych lat był on prawdziwym internacjonalistą i konsekwentnie zwalczał PPS, który nad walkę klas stawiał walkę o niepodległość; także w tej postawie SDKPiL-owskiego aktywisty miała się objawiać jego wielkość. Przyznać trzeba, że uwydatniając ten wątek z dużą siłą, propaganda niejako na swym własnym terenie przekreślała lansowany równocześnie obraz Dzierżyńskiego jako wielkiego Polaka i wielkiego polskiego patrioty. W tym wypadku rygorystyczne wymagania ideologii odniosły zwycięstwo nad względami pragmatycznymi.

Interesującym zjawiskiem jest również pomijanie patronimicum; w żadnym polskim tekście z tego czasu nie mówi się o Feliksie Edmundowiczu Dzierżyńskim. Ta sprawa otwiera ciekawą perspektywę. W tekstach sowieckich przy jego imieniu i nazwisku patronimicum podawane było zawsze, co świadczy o tym, że był on przez władze ZSRR uswojszczony, że traktowano go nie jak przybysza z obcego kraju, ale jako kogoś rdzennego, można powiedzieć, iż dokonano aktu adopcji. Charakterystyczne to, tym bardziej że żadnej innej z wielkich nierosyjskich postaci komunizmu w ten sposób nie wyróżniano, ani inicjatorów, Marksa i Engelsa, ani nawet tych działaczy, którzy – jak Dolores Ibarruri – spędzili w Moskwie długie lata. Feliks Edmundowicz traktowany był zatem jak Rosjanin, czy polskim towarzyszom zatem wypadało się do niego przyznawać i traktować jako swojego, mimo że określano go jako działacza polskiego i rosyjskiego ruchu robotniczego²². Rzecz była na swój sposób delikatna. Wydaje się, że dla propagandy z okresu stalinowskiego uwzględnienie wszystkich tych składników „sprawy Dzierżyńskiego” stanowiło trudność szczególną, być może nie będzie przesadą, jeśli nazwiemy ją kwadraturą koła.

3

To, co określiłem formułą „sprawa Dzierżyńskiego”, nie wygasło bynajmniej wraz z zakończeniem epoki, w której obowiązywał kult Stalina, a z nim kult tych organizatorów terroru, którzy mu się nie narazili, więcej, nie zamknęło się w momencie upadku komunizmu. Przypadek ten jest zbyt

²² Takie określenie pojawia się na przykład w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN, tom 3, wydany w roku 1963.

skomplikowany, zajmujący i niezwykle, a także – wbrew pozorom – zbyt nasycony niejasnościami, by można było go uznać za mało interesujący, czy traktować jako dziwny wybryk historii sprzed stulecia. Sprawa ta z pewnością inaczej rysuje się z perspektywy rosyjskiej, inaczej – z perspektywy polskiej. Ci Rosjanie, którzy przejęcie władzy przez bolszewików odbierali jako narodową (a w wielu wypadkach także osobistą) katastrofę, casus Dzierżyńskiego mogli skomentować z łatwością, wprowadzając w pewien znajdujący się na podporządku schemat interpretacyjny. Rzecz zatem wyjaśnia się prosto: utopię komunistyczną narzucili Rosji obcy, a z nią – straszliwy terror, obcy, a więc Polacy i Żydzi, Łotysze i Gruzini. Dzierżyński był jednym z najgroźniejszych obcych, tych, którzy nie mieli jakichkolwiek skrupułów w wyniszczaniu narodu rosyjskiego i jego elit.

Akurat w przypadku Dzierżyńskiego po polskiej stronie nie można zastosować tak prostego i w wielu wypadkach traktowanego jako niezawodny, schematu wyjaśniającego. Czy się to komu podoba czy nie, był on Polakiem, wychował się w szlacheckim dworze i – co ważne – w religii katolickiej, do pewnego momentu pisał wyłącznie po polsku. Można do niego odnieść inną kategorię interpretacyjną – zdradę²³. W sposób pośredni wówczas, gdy mowa o tym, jak w czasach zaborów przeciwstawiał się ruchom niepodległościowym, a całkiem jawnie, gdy przedstawia się jego udział w wojnie roku 1920 po stronie bolszewików, zmierzających do tego, by z Polski uczynić jeszcze jedną republikę tworzącego się państwa komunistycznego. O tym zaś, że taka interpretacja nie była jedyną możliwą, świadczy wiele. Podobno głoszono, że Dzierżyński był kimś w rodzaju Wallenroda mszczącego się na Rosjanach

²³ O tym, jak wielką rolę odgrywała ona w polskiej wizji świata zob. książkę M. Micińskiej, *Zdrada córka nocy. Pojęcie zdrady narodowej w świadomości Polaków w latach 1861–1914*, Warszawa 1998.

za wszystkie zaznane od nich polskie niedole. Jest to koncepcja czysto fantastyczna, warto jednak odnotować, że na jakichś politycznych marginesach się pojawiła.

O tym zaś, że sprawa Dzierżyńskiego, gdy patrzy się na nią z polskiego punktu widzenia, wcale nie jest łatwa i prosta, świadczy książka Bogdana Jaxy-Ronikiera²⁴. Z wielu względów jest ona wielkim dziwem. Łączy wątki wspomnieniowe z wywodami publicystycznymi, narrację biograficzną z elementami popularnej, by nie powiedzieć – brukowej, powieści. Wartości historycznych próżno w niej szukać, jest ich pozbawiona, nie sprawia to jednak, że przestaje być ciekawym dokumentem świadomości. Utało się przeświadczenie, że jest to książka jednoznacznie paszkwilancka, tak ją kwalifikowano w Polsce Ludowej. Tego rodzaju ocenie sprzyjał tytuł, wydaje się wszakże, iż kwestia jest bardziej skomplikowana. Ronikier obszernie pisze o zbrodniach, którym Dzierżyński patronował, nie ma w tej materii złudzeń, niczego nie zamierza przemilczać, ale jest nim niewątpliwie zafascynowany. I nie wszystkie bolszewickie zbrodnie mu przypisuje, z naciskiem podkreśla, że to nie on stał za zabójstwem cara i jego rodziny, a więc królobójcą nie jest. W wersji Ronikiera Dzierżyński nie przestaje być Polakiem i to dobrym Polakiem. Nawet wtedy, gdy bierze udział w najeździe:

Dzierżyńskiemu – Polakowi nie mogło nie bić żywiej serce, gdy patrzył na takie powodzenie polskiego oręża. (...) Cud nad Wisłą był dla niego ciosem i radością jednocześnie. W tym to sensie wypowiedział się nawet na plebanii w Dusiacku, do miejscowego proboszcza, dokąd przybył na noc, jadąc zaraz za nacierającą armią bolszewicką. Proboszcz ów dobroduszenie zainteresował Dzierżyńskiego co do uczuć, jakie przeżywa, a potem zachwycał się potężnym moskiew-

²⁴ B. Jaxa-Ronikier, *Dzierżyński „czerwony kat”*, Warszawa 1933; korzystam ze wznowienia – Kraków 1989.

skim komisarzem, «czerwonym katem Rosji», że pozostał jeszcze na tyle dobrym Polakiem.

Mówiąc prosto, nawet Polak idący na kraj z wrogą armią, by zaprowadzać w nim nowe porządki, Polakiem pozostaje. Polakiem nie tylko w sensie etnicznym (to jest oczywiste), także aksjologicznym. Polskość uszlachetnia i nie może zostać wymazana nawet w tak drastycznym przypadku. Nasuwa się pytanie, czy zgodnie z takimi wywodami Polak, który stał się jednym z najgroźniejszych i najważniejszych przywódców bolszewickich, jest niejako z natury rzeczy lepszy od przedstawicieli innych nacji, którzy znaleźli się na podobnych pozycjach? Pytanie to niewątpliwie trapiło autorów w okresie międzywojennym i w jakiejś mierze jest nadal żywe we współczesnym dyskursie pravicowym w jego wersji narodowo-konserwatywnej.

Przypadek Dzierżyńskiego przeczy tezie, której niekiedy nadaje się wymiar oficjalny i podaje do wiary jako swojego rodzaju aksjomat. Komuniści to nie Polacy, to zawsze inni i obcy. Przeczył on samym swym istnieniem rozpowszechnionej w okresie międzywojennym idei żydokomuny. O Feliksie Edmundowiczu powiedzieć można było wszystko, także wszystko co najgorsze, ale jeśli nie chciało się wchodzić w rażący konflikt z faktami, nie dało się orzec, że był Żydem. Wywodził się z polskiej szlachty, tak zresztą jak inni działacze komunistyczni, choćby Wera Kostrzewa czy Julian Marchlewski. Niewątpliwie ograniczało to (i nadal ogranicza) propagandową użyteczność tego przypadku. Jakże byłoby wspaniałe, gdyby wywodził on się z żydowskiego plebsu, zamieszkującego sztetł, bądź z zasymilowanej żydowskiej inteligencji. Wtedy sprawy Dzierżyńskiego można byłoby się pozbyć jako problemu polskiego, po prostu by zniknęła. Są zresztą tacy, którzy nadal z zapalem się do niego przyznają, widząc w nim swojego wielkiego patrona, w Rosji różnego rodzaju byli kagebiści, w Mińsku – Łukaszenko i jego ekipa. Posiadłość Dzierżyńskich znajdowała się

na terenach, które obecnie należą do Białorusi. A więc Feliks Edmundowicz wielkim był Białorusinem!

4

Rozpocząłem tę moją dzierżyńskiadę od uwag o możliwej biografii tego człowieka, zakończę też propozycją kontryfikacyjną. Szef Komisji Nadzwyczajnej, potem sowieckich kolei i – na koniec – całej gospodarki, zmarł nagle, licząc sobie lat czterdzieści dziewięć. Założmy, że miał mocniejsze serce, prowadził bardziej higieniczny tryb życia, nie był pracoholikiem, dane mu były zatem dalsze lata ziemskiej egzystencji. Przyjmijmy, że dożył okresu wielkich czystek. Co by się z nim wtedy działo? Trudno zakładać, że powierzono mu funkcję podobną do tej, z której tak gorliwie i skutecznie się wywiązywał u początków pierwszego państwa robotników i chłopów, dużo bardziej jest prawdopodobne, że Josif Wissarionowicz zagasiłby ów wiecznie gorejący płomień, rozprawiłby się z tym, kogo tak przed laty nazwał, jak z wieloma dawnymi towarzyszami. Po dwudziestu latach nadejdzie wszakże okres destalinizacji, Feliks Edmundowicz zostanie zrehabilitowany, uznany za niesłusznie represjonowanego, przywróci mu się godność jednego z wielkich twórców państwa radzieckiego i nieposzlakowanego komunisty, który stał się ofiarą kultu jednostki czy błędów i wypaczeń. Można sobie wyobrazić taki scenariusz, historia bywa wielką ironistką²⁵.

²⁵ Dziękuję Piotrowi Mitznerowi, Annie Sobieskiej i Wojciechowi Tomasiakowi za przekazane mi informacje i sugestie.

Jak pisać o Polsce Ludowej?

(Odpowiedź na ankietę)

Bardzo jestem kontent z powodu zaproszenia mnie do udziału w ankiecie na temat badań nad... No właśnie nad czym? Na to pytanie mogę odpowiedzieć od razu: nad Polską Ludową bądź PRL-em, bo te nazwy traktuję jako równorzędne, najbardziej poręczne i jakoś osadzone w realiach tamtej epoki. Nie przejmowałbym się tym, że nie pojawiły się one od razu, rozciągałbym je na cały okres 1944/89. Na to pytanie odpowiedziało mi się łatwo, na inne w sposób bezpośredni odpowiedzieć nie potrafię, przekracza to moje kompetencje, nie jestem historykiem, zajmuję się literaturą, w tym również tą, która w tamtych latach powstawała. A także od połowy lat sześćdziesiątych aż do nadejścia zmiany ustrojowej systematycznie analizowałem i opisywałem oficjalny język publiczny, obowiązujący w Polsce Ludowej, zwany za Orwellem nowomową. Te względy, a także fakt, iż niezależnie od tego, ile lat dane mi będzie jeszcze przebywać na tym świecie, ogromną część swojego życia spędziłem właśnie w PRL-u. Nie taję, że traktuję sprawę badań nad nim w pewnej mierze osobiście, sięgam po prace na ten temat nie tylko z ogromnym zaciekawieniem, odbieram je jako opowieści o tym, co pamiętam, a częściowo – także o tym, co mieści się w moim prywatnym

doświadczeniu. Jestem chętnym czytelnikiem prac historyków o tamtych zamkniętych już czasach.

Sądzę, że Polska Ludowa jest złotą żyłą tematów dla historyków zajmujących się różnymi dziedzinami. Nie tylko dlatego, że działo się wiele i otworzyły się archiwa, a więc jest o czym pisać. Przede wszystkim z tej racji, że w tym systemie w okresie stalinowskim jawnie totalitarnym, a potem autorytarnym (tak to można chyba określić), wszystko działo się w sposób osobliwy i wymaga komentarza. I to już w sferze języka. Wiele słów, nawet tych, które utrwaliły się w polszczyźnie, jest godnym zastanowienia i interpretacji świadectwem historycznym. Sięgnę po przykład pierwszy z brzegu. Słowo „decydent” było nieznane polskiemu językowi politycznemu aż do czasów Gierka. Wtedy weszło w użycie i się upowszechniło, skoro rządili przede wszystkim nie ci, którzy zostali „wybrani”, nie ci, którzy tworzą rząd, ale stojący za nimi dygnitarze partyni. Jak ich określić, żeby w jakiś sposób formuła odpowiadała rzeczywistej sytuacji, ale też ją ukrywała, bo przecież już wtedy trudno było za każdym razem podkreślać, że to partia jest najważniejsza (czas bezpośredniej gloryfikacji partii, charakterystyczny dla pierwszego ćwierćwiecza Polski Ludowej, z pewnością całkiem nie minął, ale jednak pojawiły się ograniczenia). Myślę, że z różnych zestawów słów można wywieść ogromną wiedzę na temat realiów i tendencji wówczas dominujących. Słów należących nie tylko do języka politycznego, także funkcjonujących w mowie potocznej. Niektóre z nich mogą być dla młodszego pokolenia po prostu niezrozumiałe. Któż dzisiaj zrozumie słowo „rzucić” w takich PRL-owskich idiomach, jak „rzucili cytryny” czy „rzucili buty”. Gdyby sporządzać słownik ówczesnej polszczyzny, zwłaszcza tej, która zniknęła w miarę zmiany ogólnej sytuacji, można byłoby czasownik ten eksplikować w sposób następujący: „rzucić – przywieźć do sklepu (na ogół niespodziewanie) towar rzadko pojawiający się w sprzedaży, pożądaný przez czekających na

niego klientów”. Nawiasem mówiąc, nasuwa się tutaj kolejna formuła: „towar deficytowy”. Przymiotnik „deficytowy” niemal całkowicie utracił wówczas swoje podstawowe znaczenie: „nie przynoszący dochodu, powodujący deficyt”, zaczął znaczyć tyle co „brakujący”, „niedostępny dla klientów”. PRL-owskie idiomy mówią wiele o sytuacji politycznej i gospodarczej. Dziś wymagają historycznego komentarza.

Kiedy wracam do tych nie tak dawno minionych czasów, interesuje mnie przede wszystkim nie historia polityczna i historia gospodarcza, interesuje mnie historia mentalności, historia codzienności i – zwłaszcza – historia kultury (nie dziwnego, historia literatury, którą zajmuję się profesjonalnie, stanowi przecież jej część), a więc dziedziny, wyjąwszy tę ostatnią, stosunkowo niezbyt precyzyjnie określone. Przyznam się, że nadmiernie nie zajmowałaby mnie książka na temat ewolucji teorii marksistowskich w Polsce tamtych lat, natomiast z wielkim zainteresowaniem przeczytałbym rzecz o tym, jak propagowana z taką intensywnością i na tak wiele sposobów oficjalna ideologia określała w różnych grupach społecznych widzenie świata, jak wpływała na zachowania i jak kształtowała hierarchie wartości, przeczytałbym zatem z ochotą rzecz o tym, jak ideologia owa żyła w potocznej świadomości, w jakim stopniu decydowała o społecznych oczekiwaniach i fantazmatach, jak współistniała z katolicyzmem i z praktykami religijnymi, jak nakładała się na różnorakie podsuwane przez tradycję wyobrażenia. A gdzie można znaleźć świadectwa, mówiące o tego rodzaju zjawiskach? Wydaje mi się, że wszędzie, niemal we wszelkiego rodzaju przekazach, choćby w listach do redakcji¹. Równie ciekawe byłyby prace o dniu codziennym w Polsce Ludowej, ale też o świętowaniu². Codzienność się zmie-

¹ Zob. wnikliwą książkę Adama Leszczyńskiego, *Sprawy do załatwienia. Listy do „Po prostu” 1955–1957*, Warszawa 2000.

² Zob. Paweł Sowiński, *Komunistyczne święto. Obchody 1 maja w latach 1948–1954*, Warszawa 2000.

niała, bo była funkcją ogólnych przekształceń politycznych, pozostawało w niej jednak wiele elementów niemal niezmiennych, niektóre jej wyróżniki przez lata ewoluowały w stopniu minimalnym. Dam przykład pierwszy z brzegu: warto opisać rolę kolejek w Polsce Ludowej, ich swoistą subkulturę. W tej dziedzinie także zjawiska językowe są interesującym sygnałem i świadectwem; to właśnie w obrębie subkultury kolejkowej powstało słowo: stacz-staczka, poprzednio nieznane. Można je zdefiniować jak następuje: osoba, najczęściej emeryt bądź emerytka, wynajmowana za opłatą do stania w kolejce przed sklepem w nadziei, że deficytowy towar zostanie niebawem rzucony³.

Oczywiście, wielka sprawa to historia kultury w PRL-owskim 45-leciu. Po przełomie ustrojowym jacyś gorliwcy obwieścili, że Polska Ludowa stanowiła sferę kulturalnego pustkowia, a kultura polska przetrwała tylko dzięki temu, że rozwijała się na emigracji. Ta w sposób radykalny sformułowana teza była tak absurdalna, że nawet w okresie przełomowym nie potraktowano jej poważnie. By ją odrzucić, wystarczy pierwszy z brzegu przykład. Na emigracji działali dwaj utalentowani kompozytorzy, Roman Palester i Andrzej Panufnik, jednakże to nie oni zyskali międzynarodową renomę, światową sławę zdobyli kompozytorzy mieszkający i tworzący w kraju: Lutosławski, Penderecki, Górecki. To prawda, w innych dziedzinach sztuki rzeczy układały się w sposób bardziej skomplikowany, choćby – za sprawą dwu największych: Gombrowicza i Miłosza – w literaturze. Jest jednak faktem, że w Polsce Ludowej twórczość nie zamarła, powstały dzieła wybitne, dalekie od oficjalnej ideologii i partyjnej propagandy. Jest to sprawa niezmiernie interesująca, chyba jednak nie pod-

³ Kiedy pisałem tę wypowiedź, nie było jeszcze cennej książki Małgorzaty Mazurek, *Spółeczeństwo kolejki. O doświadczeniach niedoboru 1945–1989*, Warszawa 2010.

jęta jeszcze w sposób zasadniczy. Wiele napisano o poszczególnych twórcach, rzecz wymagałaby jednak ujęcia ogólnego. Może na mocy paradoksu wiele powstało prac o socrealizmie, a więc o okresie najgorszym, w którym rzeczywiście nic wartościowego chyba się nie pojawiło; interesuje on zresztą wielu badaczy pokolenia najmłodszego, czemu trudno się dziwić, bo stanowi osobliwość (ponurą!), jedyną w swoim rodzaju.

Jak pisać historię kultury tego czasu i jej poszczególnych dziedzin? Odpowiedzi na tak sformułowane pytanie chyba nie ma, mimo że sporo w tej materii zdziałano⁴. Chciałbym zwrócić jednak uwagę na dwa konieczne elementy, ściśle ze sobą związane. Historia kultury w Polsce Ludowej musi być – co oczywiste – historią przeszkód, jakie władza ludowa stawiała, historią cenzury i nacisków ideologicznych, najróżniejszego rodzaju zakazów i nakazów. Myślę jednak, że do tego rodzaju spraw dziejopis PRL-owskiej kultury nie powinien się ograniczać, z jednym wyjątkiem – taka jednostronność jest uzasadniona w studiach dotyczących okresu klasycznego stalinizmu, a więc zajmujących się socrealizmem. W ogólności jednak pytania ograniczone w ten sposób nie ogarniają całokształtu zjawiska, gdy chodzi o podokresy pozostałe, i ignorują to, co w sumie najbardziej doniosłe i w istocie pasjonujące: jak to się stało, że mimo niesprzyjającego położenia powstało w Polsce Ludowej tyle wartościowych dzieł – i to chyba we wszystkich dziedzinach, także tych, w których z natury rzeczy naciski były najsilniejsze, jak film (tak samo brzmiące pytanie dotyczy nauki, przede wszystkim humanistyki). Jaki tu działał mechanizm, czemu zawdzięczamy to, że mogliśmy czytać wybitne książki, oglądać świetne spektakle i filmy, słuchać znakomitych nowych dzieł muzycznych czy chodzić na interesujące wysta-

⁴ Warto tu wymienić przede wszystkim faktograficzne dzieło Marty Fik, *Kultura polska po Jalcie. Kronika lat 1944–1981*, Londyn 1989. Zob. także: Andrzej Krajewski, *Między współpracą a oporem. Twórcy kultury wobec systemu politycznego PRL (1975–1980)*, Warszawa 2004.

wy? Tego rodzaju pytanie czeka na odpowiedź. Niewątpliwie nie wystarczy stwierdzenie: *spiritus flat ubi vult*, bo byłoby to rażące uproszczenie. To, co stanowiło domenę rzeczywistych wartości, powstawało w spięciu z oficjalną polityką kulturalną. Kiedy dzisiaj odbieramy wybitne dzieła z tamtych lat jako czytelnicy, słuchacze czy widzowie, możemy o tym nie pamiętać, historyk jednak pamiętać musi. I być świadom, że niezależnie od tego, jaką dziedziną życia w Polsce Ludowej się zajmuje, czyhają na niego różne niebezpieczeństwa. Wymieniłbym dwa, moim zdaniem najważniejsze, choć jest ich więcej. Pierwsze, to niebezpieczeństwo dychotomicznych podziałów, prowadzących z konieczności do różnego typu uproszczeń, drugie – to niebezpieczeństwo wartościowań niemerytorycznych, nie odpowiadających omawianym czasom, nie uwzględniających ówczesnych realiów lub wręcz wchodzących z nimi w konflikt.

I tutaj zbliżam się do sprawy, którą uważam za szczególnie ważną: jakim językiem pisać o Polsce Ludowej? Apologii, usprawiedliwienia, oskarżenia? Sądzę, że żadnym z nich; dwa pierwsze nie mają w ogóle wagi, a jeśli się pojawiają, to gdzieś na zupełnych marginesach. Ukształtował się natomiast język oskarżycielski; tym, którzy nim się posługują, w istocie nie chodzi o opisanie tego etapu w polskich dziejach, ale o podporządkowanie jego obrazów wyraźnym założeniom ideologicznym. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych pisałem z dezaprobatą o prokuratorskiej krytyce literackiej⁵, teraz powiem, że istnieje prokuratorska historia, żywię do niej również zasadniczą niechęć. Jestem przekonany, że stanowi ona aberrację, bo w istocie nie stawia sobie celów poznawczych, narzuca ideologiczne schematy i służy doraźnym celom, najczęściej politycznym. I w tym przypomina tę część PRL-owskiej historiografii, która podporządkowywała się partyjnym dyrektywom, pisząc

⁵ Zob. mój artykuł *O krytyce prokuratorskiej*, w tomie *Dzień Ulisesa i inne szkice na tematy niemitologiczne*, Kraków 2000.

o reakcyjnych spiskach i intrygach imperialistów czy przedstawiając pochwalne biografie partyjnych przywódców w rodzaju Bieruta. Obecnie prokuratorski dyskurs historyczny (czy raczej pseudohistoryczny) uprawiają historycy deklarujący swój gorący antykomunizm. Niestety, także ten przypadek potwierdza słuszność reguły głoszącej, że krańce się stykają.

Historycy tego typu nie wypełniają, na szczęście, całej badawczej przestrzeni, w sumie ta, która dostała się pod ich panowanie, jest niewielka, tak że można ją bez trudu ignorować. Choć nie jestem profesjonalnym historykiem, z wielkim zainteresowaniem i z równą mu satysfakcją czytam książki o Polsce Ludowej takich znakomitych autorów, jak Krystyna Kersten, Andrzej Friszke, Dariusz Stola – i mam dla nich wiele podziwu. Chciałbym podkreślić wartość publikacji młodszych czy wręcz najmłodszych pokolenia historyków. Czasem się mówi, że to młoda gwardia wyspecjalizowała się w ostrym i jednostronnym przedstawianiu PRL-u, bez niuansów i często bez zrozumienia, podporządkowując bezpośrednio obrazy niedawnej przeszłości z góry przyjętym założeniom ideologicznym, na ogół nie pozostającym w ścisłym związku z przedstawianym światem. Chciałbym podkreślić, że nie są to różnice typu pokoleniowego, ale właśnie ideologicznego czy nawet politycznego, różnice w ostatniej instancji między pracami naukowymi a czymś w rodzaju lepszej lub gorszej (zwykle gorszej!) publicystyki historycznej. Jestem wdzięcznym czytelnikiem wybitnych prac takich autorów, jak Krzysztof Persak, Marcin Zaremba, Piotr Osęka. Moje lektury z natury rzeczy są ograniczone; z pewnością listę wyróżniających się młodych historyków publikujących o Polsce Ludowej wartościowe prace można wydłużyć.

marzec 2007

Październik 1956: wielkie otwieranie

1

Październik 1956 dla tych, którzy przeżywali składające się nań wydarzenia na gorąco, byli ich świadkami i uczestnikami, wiązała z nimi mniejsze lub większe nadzieje, odczuwali takie czy inne ich konsekwencje w swoim własnym życiu, był wydarzeniem wielkim. Dla kogoś, kto żył wówczas i miał za sobą lata, w jakich obowiązywały reguły ścisłego, chciałoby się powiedzieć, klasycznego stalinizmu, był zjawiskiem ważnym, rokującym nadejście korzystnych zmian, zapowiadającym liberalizację, dla kogoś zaś, kto patrzy na to wszystko z dzisiejszego punktu widzenia, mogło chodzić jedynie o przekształcenia niewielkie, wręcz kosmetyczne, ostatecznie sowiecki model ustrojowy nie został zmieniony, trwał w najlepsze (formuła „realny socjalizm” nie była jeszcze wówczas znana, pojawiła się dopiero pod koniec następnej dekady). Należę do tych, którzy mają dane, by patrzeć z perspektywy bliskiej, w połowie lat pięćdziesiątych byłem młodym człowiekiem, kończącym studia. A Października nie ograniczam do kilku dramatycznych dni owego miesiąca, traktuję go jako proces, a więc w pewnej mierze zrównuję z tym, co zwykło się nazywać odwilżą.

Trudno wyznaczyć jego datę początkową, trudno też wskazać termin końcowy (była nim może wczesna jesień roku 1957, kiedy zlikwidowano tygodnik „Po prostu”?). Nie chodzi wszakże o wyznaczanie ścisłych granic. Jedno jest pewne: od czasu śmierci Stalina ogólna atmosfera zaczęła się zmieniać, a niektóre przynajmniej realia ulegały wyraźnym przekształceniom.

Można powiedzieć, gdy patrzy się nie z punktu widzenia tego, kto żył w okresie październikowym, ale z dystansu półwiecza, że ówczesne oczekiwania były niewielkie, wręcz minimalistyczne, bo każde odejście, nawet najskromniejsze, od stalinowskich rygorów było postrzegane jako ważne. Dla mnie wszystko, co się wówczas działo, było niezmiernie doniosłe i miało wymiar historyczny; oczywiście, nie byłem w takich odczuciach odosobniony. Żeby uwiarygodnić swą relację, muszę powiedzieć coś o sobie; propagandzie komunistycznej uległem w czasach szkolnych, między piętnastym a osiemnastym rokiem życia, to wtedy wizja świetlanej przyszłości, budowanej według zasad sformułowanych przez czterech genialnych klasyków marksizmu, wydawała mi się fascynująca. W połowie lat pięćdziesiątych utopia ta nie była już jednak przedmiotem mojej wiary, odchodziłem od niej stopniowo, by w stosunkowo krótkim czasie rozstać się z nią definitywnie. Wtedy już byłem w pełni świadom, że w stalinowskim świecie, zdominowanym przez bezprawie, podporządkowanym drakońskim zasadom, wynikającym z ideologicznych fantazmatów, które z coraz większą wyrazistością okazywały się bezsensowne, zamkniętym na cztery spusty, trudno wytrzymać, a w istocie żyć się nie da. Był to świat nie tylko restrykcyjny i okrutny, był także niewymownie nudny, bezbarwny, szary, taka była codzienność, ale w równym stopniu takie było życie umysłowe. To, czego uczono na uniwersytecie, jeśli nie liczyć kilku chwalebnych wyjątków, doskonale mieściło się w oficjalnej ideologii, a to, co określane było jako nauka, stanowiło bezwzględne wtłaczanie wszystkiego w zwulgaryzowane do granic możliwości mark-

sistowskie schematy. Nic dziwnego, że wszystko, co stanowiło zapowiedź choćby minimalnej zmiany, spotykało się z zainteresowaniem bądź nawet z entuzjazmem.

To, co się wówczas działo, określiłbym jako otwieranie świata. Słowo „otwieranie” można zresztą rozumieć w pełni literalnie, skoro – choć z trudnościami, powoli bo powoli – zaczęły się otwierać więzienne bramy, przez które wychodziły tłumy ofiar stalinowskiego terroru. Tego rodzaju otwieranie było niewątpliwie wydarzeniem najważniejszym, ważącym na biografiach tak wielu osób, myślę tu wszakże o czym innym, o otwieraniu polskiego życia umysłowego na to, co się dzieje na świecie, na nieokreślaniu wszystkiego, co nie mieściło się w obcisłych ramach komunistycznej ideologii, jako przejawu wrogiej myśli czy sztuki burżuazyjnej, będącej przejawem upadającej i zgniłej kultury Zachodu. Odcięcie od niego było tak silne, że aż trudne do wyobrażenia, a ciekawość tego, co się dzieje za żelazną kurtyną, ogromna. Wszystko, co mogło służyć jej zaspokojeniu choćby w stopniu minimalnym, spotykało się z wielkim zainteresowaniem. Wydana w roku 1953 książka Zygmunta Kałużyńskiego *Podróż na Zachód*, pokazująca w sposób selektywny i w zasadzie nie odchodzący od obowiązujących schematów wybrane zjawiska zachodnioeuropejskiej kultury, odniosła znaczny sukces i była kilkakrotnie wznawiana. Niewiele czasu musiało minąć, by stała się anachronizmem i popadła w doszczętne zapomnienie. Ten typ informacji już nie wystarczał, kontakt ze światem przybrał całkiem inne formy. Pamiętam, z jakim zachłannym zaciekawieniem rzucono się na wszystko, co mówiło o wolnym świecie i mogło być traktowane jako jego wytwór, na wszystko, co wykraczało poza dotychczasowo obowiązujący język i kwestionowało go samym swym pojawieniem się. Powiedziałbym, że ruch październikowy to ponowna, a przy tym radykalna, okcydentalizacja Polski. By się o tym przekonać, wystarczy porównać to, co wydawano w okresie ścisłego stalinizmu, z tym, co publi-

kowano nieznacznie później. Różnica była kolosalna. Wśród przekładów we wczesnych latach pięćdziesiątych dominowały powieści sowieckie, będące pokazem poetyki socrealistycznej w czystej postaci; to prawda, były one tak nudne, że mało kto je czytał, z pewnością te liczne tomy zasilaty obficie przedsiębiorstwa trudniące się zbieraniem makulatury, stąd wielki powrót do powieściowej klasyki tak polskiej, jak obcej. Już w połowie lat pięćdziesiątych lista przekładów prezentuje się całkiem inaczej, znalazły się na niej w obfitości nazwiska pisarzy współczesnych, niemających nic wspólnego z ideologią komunistyczną. Miało to ogromne znaczenie, podobnie jak pojawienie się na polskich ekranach w całkiem dużym wyborze zachodnich filmów z powojennej dekady, a w polskich filharmoniach – dzieł wybitnych XX-wiecznych kompozytorów, których jeszcze niedawno przedstawiano jako dekadencckich przedstawicieli burżuazyjnego formalizmu. Dla kogoś, kto interesował się życiem umysłowym i artystycznym, ciekawszy świat stawał się w formie mniej lub bardziej ograniczonej dostępny. Pamiętam, jak wielkie to miało znaczenie.

Otwieranie nie ograniczało się, rzecz jasna, do recepcji kultury zachodniej. Dotyczyło także stosunku do rodzimych tradycji. Repertuar teatralny zmieniał się nie tylko dlatego, że powoli przenikały doń sztuki Anouilha, Ionesco, Becketta, także z tej racji, że możliwe stało się pierwsze w Polsce Ludowej wystawienie *Dziadów* (w roku 1955). Stalinowska wizja polskich tradycji artystycznych była wysoce restrykcyjna, lansowano tak zwane kierunki postępowe i realistyczne („realizm” zresztą rozumiano nader osobliwie), a w nich nie mieścił się na przykład barok, traktowany jako przejaw religianctwa, nie mieściła się duża część romantyzmu, nie tylko Krasiński i Norwid, ale także wiele rzeczy z dorobku Mickiewicza i Słowackiego. I w tej dziedzinie też zaszła zasadnicza zmiana. Przywrócono do łask sztukę i literaturę dwudziestolecia międzywojennego, którą do tej pory odrzucano niemal w całości.

Okres odwilży, który z powodzeniem możemy nazywać październikowym, był czasem niezwykłego ożywienia artystycznego chyba we wszystkich dziedzinach sztuki. Trudno utrzymywać, że od razu pojawiły się dzieła wybitne (szuflady pisarzy okazały się niemal bez wyjątków puste), ale zaczęły się ukazywać rzeczy ważne, które jeśli nawet utraciły swoją atrakcyjność i dzisiaj są czytane wyłącznie przez specjalistów, to odegrały wielką rolę, wyłamywały się spod partyjnej kontroli, zaczęły mówić normalnym językiem, dalekim od propagandowych machinacji¹. Znakomite rezultaty nadeszły szybko; to w drugiej połowie lat pięćdziesiątych zaczęły się pojawiać zbiory poezji wybitnych poetów, to wtedy właśnie międzynarodowy prestiż zdobyło kilku polskich kompozytorów, to wtedy odżył teatr i pojawiły się wielkie nazwiska reżyserów filmowych.

Uformowało się wiele zjawisk, które poprzednio były nie do pomyślenia. Niezwykłą atrakcyjność okazała idea nowoczesności². To prawda, dzisiaj może się ona wydawać naiwna, pełna sprzeczności, niezbyt wykrystalizowana. Wówczas znaczyła ona wiele, nowoczesność bowiem łączyła się z poszerzeniem swobód, była radykalną, a może nawet główną formą odrzucenia partyjnego panowania nad kulturą. Nowoczesny w dużej mierze znaczyło wtedy tyle, co niezależny, wolny od narzuconych schematów, daleki od propagandowych celów. A także związany z kulturą zachodnią i jej żywymi w tamtym czasie tendencjami. Choćby impreza tak elitarna jak „Warszawska Jesień” (pierwsza odbyła się właśnie jesienią 1956)

¹ Zob. hasło Jerzego Smulskiego „Odwilż”, w: *Słowniku realizmu socjalistycznego* pod red. Z. Łapińskiego i W. Tomasika, Kraków 2004; do hasła dołączono obszerną bibliografię. Pionierską pracą w tej dziedzinie jest studium Tomasza Burka, *Zapomniana literatura polskiego października*, ogłoszona w drugim obiegu w roku 1983, a następnie przedrukowana w tomie *Żadnych marzeń*, Londyn 1987.

² Szerzej zajmuję się tą kwestią w rozmowie z Ryszardem Koziołkiem, za-tytułowanej „Czy pan jest nowoczesny?”, opublikowanej w kwartalniku „Świat i Słowo” 2005 nr 1 (4).

była czymś więcej niż ewenementem środowiskowym, angażującym krąg profesjonalnych muzyków, była jedną z manifestacji wolności, jednym ze znaków, że przynajmniej w życiu kulturalnym dokonał się przełom, a wraz z nim skończyło się to, co w oficjalnym języku określano za pomocą eufemizmu „administrowanie sztuką”. Skutkiem owego „administrowania” stała się bezwzględna dominacja realizmu socjalistycznego.

Realizm socjalistyczny był w Polsce epizodem trwającym stosunkowo krótko: od tak zwanego zjazdu szczecińskiego (1949) do połowy lat pięćdziesiątych, miał jednak z wielu względów ogromne znaczenie, zatrzymał we wszystkich dziedzinach sztuki normalny (czy naturalny) proces rozwojowy, w konsekwencji tym donioślejsze stało się jego pełne i bezwzględne odrzucenie. W okresie październikowym definitywnie zakończył on swój nędzny żywot (co różniło Polskę od innych krajów obozu, w nich bowiem trwał w najlepsze). Zakończył w taki sposób, że nawet w okresach szczególnego nasilenia ofensywy ideologicznej nie mogły komunistyczne władze do niego powrócić. Nie tylko został odrzucony, został konsekwentnie i do szczętu zaśmiecony. A oczywiście trudno reaktywować coś, co poległo w ten sposób. Próbowano wprowadzać socrealizm tylnymi drzwiami (w postaci programu „literatury o pracy” czy „małego realizmu”, a także poprzez lansowanie prozy o tematyce wiejskiej, która szczęśliwie okazała się zjawiskiem poważniejszym), kończyły się jednak tego rodzaju oficjalne usiłowania zawsze niepowodzeniem. Myślę, że jest to także wynik tego, co się działo w kraju w szeroko rozumianym okresie październikowym.

W życiu naukowym skończył się wówczas dyktat stalinowskiego marksizmu, od którego zaczęli się odżegnywać – ku ogólnemu pożytkowi – także ci, którzy jeszcze niedawno byli jego zwolennikami, a przynajmniej wybitniejsi z nich. O osłabieniu, a w pewnych przypadkach po prostu wyeliminowaniu tego dyktatu mogę mówić na podstawie własnego doświadc-